ROK DRUGI.

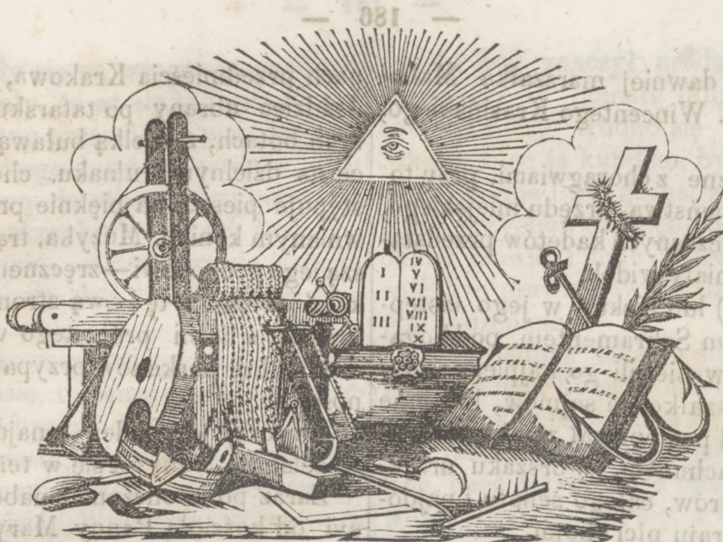
№ 24.

Warszawa
D. 2 (14) czerwca

1857.

Niedziela

1 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„*Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*" (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Dla miłości Boga poddać się chętnie powinieneś wszystkiemu: trudom i boleściom, uciskom, niedostatkowi i upokorzeniu; bo On da nagrodę wiekuistą za krótkie cierpienie. (O naśl. Chr. K. 3. R. 35).

Boża Męka.

(Obrazek)

—

Tu wioska z chatami, tam lasek i łany;
Na drodze do lasku krzyż stoi drewniany,
A na nim zrobiony, lecz niewprawną ręką
Pan Jezus, Zbawiciel z odkupienia męką.
I każdy, co z wioski przybywa pod borek,
To klęknie i kornie odmówi paciorek,
Na sztukę nie patrzy, o dłuto nie pyta,
Nie okiem artysty, lecz wiarą go wita.
Kmieć każdy czém może, to krzyż ten przystroi:
Wianuszkiem, ziołami, wiązkami powoi;
Bo gdy się wybiera w wędrówki dalekie,
A odda się szczerze w Chrystusa opiekę,
To pewien, że ujrzy znów dzieci i żonę,
I chaty dymiące i łąki zielone.
Rodzice koszulkę dziecięcia zawieszą,
Gdy w niemoc popadnie, i tém się pocieszą,
Że Jezus Opiekun nieszczęsnych na ziemi
Okaże cud łaski nad dzieckiem, nad niemi.
Więc uczmy się z tego, że w małym zakresie
Kto zechce, pożytek dla drugich przyniesie.
Ow rzeźbiarz był tylko pełen dobrej chęci,
Przysługę wyświadczył, a Bóg ją uświęci.

—

Processye Bożego-Ciała.

—

Uroczystości te z największą zawsze okazałością u nas obchodzono — w Warszawie np. za czasów Augusta III króla bractwa kupieckie z cechami, to w polskim, to niemieckim stroju, towarzyszyły processyom Bożego-Ciała; przewódcy pierwszych mieli buławy i kołpaki sobolowe, drugich szarfy i kapelusze strusiemi piórami obłożone. Kompania taka każda dawała potrzykroć ognia; polacy odznaczali się regularnem strzelaniem. Stanisław August król zakazał strzelania podczas tych uroczystości, bo się kobiety lękały.

Na uroczystościach dnia rzeczonego król bywał w kościele Ś Jana i u XX. Missyonarzy. Kollegiata królewska miewała strojne i pełne przepychu ołtarze we czwartek, u bramy Zamkowéj i na rynku Starego-miasta; XX. Missyonarze w

niedzielę, w pałacu dawniej marszałka Małachowskiego, dziś hr. Wincentego Krasińskiego, u Kadetów, i t. d.

Cechy owe rozliczne z chorągwiami, przy towarzyszeniu duchowieństwa, urzędu miejskiego, młodzi szkolnéj, i ówczesnych kadetów przedstawiały piękny i wspaniały widok.

Szedł Prymas, (1) lub biskup w jego zastępstwie, z Najświętszym Sakramentem, pod bogatym baldachimem; wspierali go najpierwsi dygnitarze kraju, marszałkowie sejmów, lub inne dostojne osoby. Król postępował za nim pod małym okrągłym baldachimem, w orszaku urzędników dworu, ministrów, całego senatu i najdostojniejszych osób kraju płci obojéj.

Oba orszaki, duchowieństwa i królewski bronił od natłoku czworogran gwardyi konnéj, w białych mundurach, ze złotemi słońcami na piersiach. Ludu bywała niezliczona mnogość. Tym porządkiem postępowała processya za Augusta III z kościoła Kollegiaty do Śgo Krzyża. Ołtarz zamkowy był tak urządzony:

Cztery kolumny na środku dziedzińca przed pałacem, podpierały bogaty baldachim aksamitny karmazynowy, galonem i złotą frędzlą obszyty; na szczycie jego złożoną była korona na aksamitnej karmazynowéj poduszce. Spód ołtarza wysłano suknem karmazynowém, stopnie doń wiodące zielonem, a ostatnie dwa wierzchnie czerwoném. Kwiaty w przepysznych wazonach wspaniale ubierały ołtarz.

Domy miejskie wszystkie przyozdobiono wystawnemi obiciami, ulice i drogi umajono zielonym liściem, tatarskiem usłano zielem, i dwa regimenta królewskiéj gwardyi podwójną linią po całem mieście rozstawiono.

Królestwo oboje byli na processyi; wojsko z ręcznéj strzelby, artyllerya z armat dawały ognia. Królowa przez całą oktawę Bożego Ciała bywała u XX. Reformatów na rannem nabożeństwie i na nieszporach.

W Warszawie dawniéj główna processya Bożego-Ciała odbywała się do ołtarzy na Staremmieście urządzonych; teraz processyę tę przeniesiono na Krakowskie-Przedmieście.

—

Z religijną uroczystością Bożego-Ciała wiążą się i dawne różne zwyczaje ludowe, np.

Konik Zwierzyniecki. W oktawę Bożego-Ciała zwyczaj gromadzi mnóstwo ludu na równinach przedmieścia Krakowa, ku Zwierzyńcowi. Jeździec ubrany po tatarsku, w zawoju i żółtych bótach, z wielką buławą w ręku, udaje harce na dzielnym rumaku, choć rzeczywiście postępuje pieszo na pięknie przystrojonym, drewnianym koniku. Muzyka, trąby i kotły towarzyszą jego pochodowi—zręcznemi i śmiałemi poskokami swemi w tę i ową stronę miesza tłumy zebrane, a liczni prócz tego widzowie z dachów, drzew, lub parkanów przypatrują się jego zręczności.

Zwyczaj ten, jeden z najdawniejszych i najweselszych, odbywa się w ten sposób:

Zaraz po ukończonem nabożeństwie i processyi od kościoła Panny Maryi po rynku miasta, lud mnogi spieszy na równinę ku Zwierzyńcowi; współcześnie zgromadzenie Włoczków, czyli flisów spławiających drzewo, wychodzi z nabożeństwa wolnym krokiem, i postępuje w porządku, jaki im dawny obyczaj przepisał.

Po pewnym czasie, zjawia się od Zwierzyńca oczekiwany *konik* ze swym udzielnym orszakiem, postępuje zwolna na przyjęcie Bractwa włoczków, łączy się z niem i razem wjeżdża przed pałac Biskupa Krakowskiego, dla powitania go trzechkrotnym powiewem chorągwi. Poczem włóczkowie zatrzymują się opodal, a przebrany tatarzyn harcuje na koniku, rozbijając cisnące się tłumy. W końcu staje na czele włoczków, i z powagą a chwałą tryumfu jedzie na przedmieście Zwierzyńca, gdzie go czeka skromna, ale wesoła uczta.

W r. 1525 takim jeźdźcem był Kulisiewicz, około lat 60 mający, jeden z najdzielniejszych włoczków.

Zwyczaj ten wedle podania ludu, co się i z historyą zgadza, powstał po r. 1281. W tym bowiem roku, za czasów panowania Leszka Czarnego, tatarzy po raz trzeci wtedy w Polsce grasujący, podsunęli się pod sam Kraków. Było to właśnie podczas processyi Bożego-Ciała; dano znać do miasta, że tatarzyn dziki pustoszy przedmieście Zwierzyniec. Alarm i trwoga chwilowa zrodziły się w mieście, i wśród krzyku i narzekania kobiet i starców już zamyślano zdać się na wolę napastnika. Wtem jeden z bractwa włoczków zwierzynieckich porywa chorągiew, i woła:

—Za mną bracia!—gińmy, a nie dozwalajmy bezkarnie nachodzić naszéj ziemi!

Tłumy ludu zagrzane temi słowy i dzielnością

(1) Prymas, najwyższa godność w duchowieństwie.

wzywającego, rzuciły się na wroga, trupami zastały nadbrzeża Wisły, że aż się ta krwią ich zarumieniła, a waleczny przewódca, przystrojony od ludu w ubiór zabitego dowódcy tatarów, prowadzony z tryumfem do miasta, przyjmowany i witany był przy okrzykach radości, przy Wiślanej niegdyś Bramie, w tem prawie samem miejscu, w którem się dziś łączy z chorągwią włoczków.

Włóczkowie krakowscy tak nazwani spławiający drzewo na Wiśle, to samo co na Bugu *orele*, mieli swój cech i bardzo dawne prawa spuszczania drzewa do miasta, z miejsc, *przystaniami* zwanych, zkąd nikomu oprócz nich niewolno go było dalej prowadzić. Wyłączne to prawo otrzymali oni za ów waleczny odpór tatarzyna.

Prawa te potwierdził im Władysław IV król dnia 23 marca 1633 r., na zjeździe koronacyjnym—Jan Kazimierz 9 lipca 1667—Michał Korybut 1669— Jan III r. 1676, później August II i III, a nakoniec i Stanisław August.

Miłość i jedność były godłem ich cechu—na pogrzebie jednego z nich wszyscy bracia cechowi znajdować się winni; w razie niemożności którego, żona z dziećmi obecną być musiała.

Cech Włóczków pobierał z Wieliczki corocznie na suche dni soli 2 beczek, oprócz zapłaty za spław drzewa na rzecz królewską.

Pogadanki starego rolnika.

II.

—

Poczciwy ludowina w Marusicach tak się nałożył do pogadanek Janka Goździaka, że jak tylko przyszła niedziela, tak każdy, czy młody, czy stary, czy to dziewucha, parobczak, gospodarz, lub gospodyni, szli wszyscy do jego chałupy jakby za jaką powinność.

Otóż kiedy się znowu jednej niedzieli zeszli ludzie do Janka i gaworzyli tu z sobą o różnych nowościach, Janek tak zaczął mówić:

— Kiedy moi ludzie! przy pomocy Boskiej i poczciwego naszego dziedzica, z parobka dworskiego przechodziłem na gospodarza, to nietrzeba wam tego mówić, że pieniądze wtedy idą jak woda. To też co ino miałem uciułanego grosza, wszystko poszło między ludzi, a na szkapinę musiałem się aże zapożyczyć dwóch dukatów. Nie frasowałem się jednak wiela o to, bo w polu Bóg znaczył urodzaj, więc przy zarobku we dworze pomału długby się zepchnął, a bez szkapiny trudno się ostać gospodarzowi. Szkapina, co ją kupiłem, była klacz gniada źrebna, i robotna i nie garna; a że spodziewałem się z niej przychowku, więc obserwowałem ją nikiej oka w głowie, i moje dzieciaki, chłopiec i dziewucha to prawie nawpół dzielili się z nią swojem jedzeniem.

Mimo jednak takiego staranku Bóg nawidził mnie na niej, bo przy ożrebieniu zdechła, zostawiając jakby na większą żałość, malutką żrebiczkę, takuteńką rychtyk jak sama. Ha! moi ludzie, choć szkapina nie ojciec ani matka, ale równie zafrasowałem się, a dzieciaki to myślałem że się pozagubiają. Ale najbardziej nam szło o małą żrebiczkę, bo co tu robić z takim robaczkiem? Więc poszedłem po rozum do głowy, i umyśliliśmy sobie z kobietą, żeby ją przysadzać do krowy, a samym obchodzić się bez nabiału. Z razu turbacyi dosyć było; z krową kłopotu było co niemiara, ale pomału krowa się nałożyła, i jak wracała z pola, to nawet ryczała do źrebicy. I tak rosła, chowała się nam ładnie, wybryzgiwała po podwórzu; a że wszyscyśmy wedle niej chodzili nikiej koło jakiego dziecka, podtykali to siana, to owsa, to ziemniaków gotowanych, to chleba kawałek, więc tak do nas nawykła nikiej psiaczek jaki, i het sobie chodziła za nami po izbie, po chlewach, po podworzu, że trudno było się ognać od niej—a jakeśmy się jej pochowali, to tak rżała, tak szukała, tak zaglądała do wszystkich dziur i kątów, aż musiała albo mnie, albo kobietę, albo które z dzieci nadybać.

Oj! ucieszne też to było robactwo—przezwaliśmy ją *Sierotką*, a panicz dworski nazwał ją *Wachną*, bo miał kuckę, co się tak nazywała—i jak które z nas zawołało głośno: Sierotka! albo Wachna! to żeby nie wiem gdzie była, aby ino dosłyszała, zaraz biegła do człowieka, owąchiwała i szukała, czy czego się jej nie da do zjedzenia. I tak było cosić do roku; a że w naszej wsi z pastwiskiem było trocha przyskąpo, więc panicz dworski uprosił swego wuja, że Sierotkę naszą wziął do swojej wsi, co ją miał o cztery mile nad Wisłą, na pastwisko letnie.

Oj! sądny też dzień był, kiedy ją przyszło wydawać z chałupy w cudze ręce, i na obcą opiekę—bo to źrebica opierała się, że ją aż dwóch ciągnęło za postronek, ja pchałem z tyłu, dzieciaki

wrzeszczały i ciągnęły ją ku sobie, kobieta ocierała oczy z płaczu, i karciła dzieciaki, a ja gniewałem się na żonę, że ich nie pozamykała w izbie, i że teraz po próżnicy tyle robią termedyi. Wreszcie moi ludzie! i mnie się żal zrobiło, więc odszedłem od naszej Sierotki, zabrałem dzieciaki, żonę, poszedłem do izby i zamknąłem się w niéj, żeby już nie patrzeć, co się ta dalėj dziać będzie na podwórzu.

Około południa fornale ze źrebiętami dworskiemi i z naszą Sierotką wyruszyli w drogę; dzieciaki pilnowały w oknach, bo wedle naszéj chałupy droga im wypadała, a i ja choć niby krzątałem się po izbie, to za tem, to za owem, a równie nadsłuchiwałem, bo jeszcze raz chciałem choć aby spojrzeć na moję wychowanicę. Wreszcie zadudniało pod oknami, dzieciaki krzyknęły, kobieta poskoczyła ku nim, a ja rzuciłem okiem ukradkiem, ale mi się tylko mignęło, bo chmura kurzu zakryła wszystko. Tak więc zostaliśmy bez naszéj Sierotki, i długi czas tak nam wszystkim było smutno, tak jakoś pusto, tak nam cosić brakowało, że i godziny prawie nie było, żeby się które z nas o Sierotce nie odezwało—potem wybierałem się ciągle, żeby źrebiczkę naszą odwiedzić, ale jak to przy gospodarstwie, nigdy nie było czasu, przytem na piechotę droga daleka, więc tak na wybieraniu zeszło całe lato. W zimie znowu zaraz po siewach zasłabowałem i leżałem do połowy postu, zanim wydobrzałem, więc także o odwiedzeniu Sierotki nie można było myśleć. Potem przyszły siewy, a zatem moi ludzie prawie przez pięć kwartałów już Sierotka nasza była na obcym chlebie, a my jéj ni razu nie widzieli, ino zawdy słyszeli od pana i od ludzi, że się ślicznie chowa, że pięknie wyrosła, i że pewno jéj nie poznamy. Ja na to ino się uśmiechałem, bo jakby to mogło być, żebym jéj miał nie poznać, albo ona mnie po głosie? Więc sprzeczałem się z każdym, a kiedy upierałem się i upierałem przy swojem, Wuj panicza rzekł:

—No, kiedy nie wierzysz temu, co ci mówię, to załóż się ze mną.

— Ja nie odchodzę od zakładu, odrzekłem, kłaniając się nizko panu, i tym sposobem stanął zakład: że albo mi pan jeszcze rok za darmo przetrzyma Sierotkę u siebie, albo ja mu za ten rok zapłacę. Jednéj więc niedzieli pan mnie zabrał z sobą na bryczkę; przez całą drogę żartował ze mnie, chwalił talarki, co zgarnie do kieszeni za moję przegraną, a ja choć miny nie traciłem, ale równie niepokoiłem się, bo pięć kwartałów, to czas nielada jaki, a moja Sierotka zwyczajnie jak bydlątko, głupie i jużcić, więc nic dziwnego choćby wszystkiego zabaczyła. Jak tylko przyjechaliśmy, zaraz poszedłem na pastwisko do stadniny, co miała kawał pięknéj łąki łatami odgrodzonéj. Pan był tuż przy mnie, i pokazując ręką na brykającą stadninę, rzekł:

—No Janku, poznaj teraz, która twoja źrebica—patrz choćby do wieczora, pozwalam ci na wszystko. Spojrzałem, i ani weź, żadna sztuka ani się umywała do mojéj Wachny. Wszystko było takie dorodne, takie ładne, że to powiadam wam sztuka w sztukę, a było tego cóścić ze dwadzieścia. Więc przypatruję się po nogach, po uszach, po łbach, gdzie tam?—bo i ta trocha podana, i ta także, i owa, ale która moja na pewne, choć urznij, a nie wiedziałem. Więc zaczynam się trochę frasować, pan sobie ze mnie pokpiwa, ja się skrobię w głowę, wzdycham, aż wreszcie przyszło mi na myśl, żeby ją zawołać po imieniu. Pan nie sprzeciwiał się temu, stanąłem sobie więc przy samėj baryerze i trzymając kawałek chleba w ręku, zawołałem:

— Sierotka! moja kochana sierotka! Wachna! Na to wołanie dosyć głośne, kilka sztuk zatrzymało się na środku, a jedna zpomiędzy nich łeb podniosła do góry, uszów ostro nastawiła, i jakby czego szukała, albo co przypominała sobie, obracała się dokoła, i chrapami wciągała powietrze. Wtedy ja na chybił trafił, jeszcze raz zawołałem:

— Sierotka! chodź do chleba, Sierotka!

Moi ludzie, po tych słowach jak się klaczka ta, co to stała na środku i oglądała się dokoła, nie kopnie ku mnie, jak nie zacznie rżeć, wąchać mnie, lizać ręce, łbem wytrząsać, to ludzie myśleli, że co do niéj złego przystąpiło, że aż ze strachem posuwali się od zagrody. Ja jeden tylko zostałem, oddałem jéj chleb wszystek, co miałem przy sobie, potem objąłem za szyję, całowałem, głaskałem, i jak odchodziłem, to mało że nie przeskoczyła przegrody, co duchem chciała iść za mną. Drugiego dnia moi ludzie, to inom się pokazał i chrząknął, jużcić Sierotka tuż była przy mnie, i tak cosić przez dwa dni nie mogłem się z nią nacieszyć. Ludziska temu wszystkiemu to się wydziwić nie mogli, i tak moje bydlątko pokochali, że ją wszyscy inaczéj od tego czasu nie nazywali, ino Sierotka i Sierotka,

i każdy choćby gębie odjąć, a dzielił się z nią ostatnim kawałkiem chleba.

Kiedy już była w piątym roku życia, podziękowałem panu za wychowanie, i wziąłem ją do domu, żeby mi pomagała w gospodarstwie, a że miałem drugą dobrą także szkapę, karego konia, więc robiły z sobą w parze, i tak chodziły z sobą równo, tak galanto, że ludzie moich szkapin nachwalić się nie mogli. Zarobku też nie brakło, ale robotę niemi prowadziłem z rozumem, wozu nie przeładowałem, ino ciężar zawdy był w miarę, szkap nie zgoniłem, nie skatowałem, nakarmiłem, napoiłem; kiedy się zagrzały w drodze, to na przystanku okryłem derkami, oczyściłem szczotką i zgrzebłem jak wypada, posłałem pod nie, żeby się miały na czem wyleżeć, a jak przyszła niedziela albo jakie święto, tak żeby mi nie wiem co kto dawał, tak żadnéj szkapy ze stajenki do roboty nie wyprowadziłem. I tak zeszedł jeden, drugi i trzeci rok; przez ten czas od Sierotki dochowałem się ładnego żrebca, potem przybyła mi żrebiczka, i tak mi się jakoś przy pracy i modleniu do Boga Wszechmogącego wiodło, że w gospodarstwie wszystkiego się przysparzało, a Sierotkę tośmy wszyscy prawie nie za bydlę mieli, ino nikiejby za jaką przyjaciołkę, albo bliską krewniaczkę. Na ten przykład przyszło się do niej, to zaraz człeka witała rżeniem, oglądała się, wąchała, a jak czasem zjakiego frasunku człek zabaczył wszystkiego, i chodził nikiej struty, to moje bydlątko póty zachodziło i z téj i z owej strony, póty zaczepywało, póty skubało po odzieniu, że człek rad nierad musiał rękę do niej wyciągnąć, ugłaskać, ucałować, i zabaczał choć na ten krótki czas tego, co go boli. Oj! jedyna to była szkapina, a nie narowna, a robotna, a niegarna, że na całą okolicę drugiéj takiéj nie znalazł.

To też każdy mi jéj zazdrościł, a w dziesiątym roku, kiedy już w parze chodziła ze swoim synem, tośmy się dosyć nacieszyć nie mogli, że to już własnego chowu mamy bydlątka.

Pamiętam jak dziś, było to na wiosnę, kiedy pierwszy raz Sierotkę razem ze źrebcem po niej wyprowadziłem z pługiem w pole. Mały mój Stasiek, co dziś już o pół głowy wyższy odemnie, jechał na źrebcu, mała Wiktusia, co dziś z jéj przyczyny zostałem dziadkiem, siedziała na Sierotce, Walek trzymał się pługa, bo duchem chciał własną ręką pierwszy zaprobować, jak będą z sobą szły w parze, a ja z kobietą szedłem dopiero za niemi, i przez całą drogę ino o naszych bydlakach gaworzyliśmy z sobą.

Z taką procesyą przejechaliśmy przez wieś, i myślałem, że już nie dojdziemy do pola, bo każdy z gospodarzy, co stał przed chałupą, dochodził do nas, trocha pogaworzył, przypatrzył się żrebcowi, poczęstował tabaką, życzył szczęścia Boskiém słowem, więc przestanków było co nie miara. A w polu dopiero z dziećmi co to było termedyi! — bo to żrebiec nienauczny roboty kręcił się jak przyszło do ciągu, dzieciaki więc dalejże go żałować, a jak śmignąłem biczem, albo Sierotka na syna stuliła uszy i chciała go udrzeć zębami, więc dzieciaki w krzyk i w bek, tak, że aż musiałem ich z kobietą odesłać do domu. Niedługo jednak było téj uciechy, bo jesienią przyszedł w nocy zły człowiek i ukradł mi moje szkapiny ze stajni.

Oj! moi ludzie co na drugi dzień działo się u mnie w chałupie, co było płaczu i wyrzekania, to ani głowa moja, żebym wam to opowiedział. Przez cały dzień chodziliśmy jak nie swoi, ja szukałem, chodziłem Bóg wie niegdzie, dopytywałem się u wszystkich ludzi, ale wszystko napróżno, i szkapiny moje przepadły, jakby kamień w wodzie. Trzeciego dnia dałem na Mszą Ṡtą, wysłuchałem nabożeństwa, wypłakaliśmy się z kobietą i z dzieciakami; i jakoś zrobiło się nam raźniéj, i oboje rzekliśmy: ha! kiedy Bóg tak chciał, niech się dzieje Jego święta wola. I patrzcie moi ludzie, że zaufałem Bogu, Bóg mnie pocieszył, bo kiedy tego dnia po nabożeństwie pokładliśmy się spać, i ja jakoś dobrze po północku ocknąłem się, usłyszałem jakby tętnienie, kiedy koń leci galopem. Nadstawiłem głowy, słucham, a tu dudni coraz lepiéj i coraz bliżej, aż wreszcie ucichło pod płotem i zarżało. Po tem rżeniu poznałem moję Sierotkę, a choć własnym uszom nie wierzyłem, jak się nie zerwę, jak nie wypadnę z izby; patrzę, a tu moja Sierotka w siodle bez uzdy stoi pod płotem i szuka wrotni, żeby mogła wejść na podwórze.

Szkapsko ogromnie było spędzone, cienkie, wygłodzone, a kiedy podsunąłem jéj siana i odkulbaczyłem, przy siodle w mantelzaku skórzanym znalazłem spory worek z samemi rublami, których po przeliczeniu we dworze było 1800 złp. i takowe zostawiłem u dziedzica, a po świecie puściło się gadkę o tem znaleźnem. Jakoż cosić we trzy tygodnie przyjechał do dworu

zpod Płocka z jednej wsi gospodarz, co sobie z pracy i oszczędności uzbierawszy tę trochę grosza, miał kupić osadę, ale mu na popasie w karczmie wyjęli złodzieje trzos zpod głowy, i on na raz jeden stracił to, co ciułał przez całe prawie swoje życie. Kiedy dziedzic z różnych papierów, z listów i ze świadectw przekonał się, że istotnie te pieniądze do niego należą i odliczył mu takowe co do grosza, to chłopina z wielkiéj radości sam nie wiedział, co miał robić, bo to i płakał i śmiał się, i całował mnie, i dziedzica po nogach, a za znaleźne dał kobiecie rubla, dzieciakom po złotówce, a mnie dobrą szkapę zpod siebie, co na niéj przyjechał, niby za tego źrebca, co mi go ukradli, a którego już nie wynalazłem.

Znowu więc dwoje koni miałem do roboty, a co najważniejsza, moję kochaną Sierotkę, którąśmy za jéj poczciwość jeszcze prawie bardziéj pokochali.

Ale złych ludzi zawsze jest dosyć na świecie, i moję Sierotkę drugi raz z pastwiska w biały dzień ukradziono i już nie powróciła do domu. Całe prawie pół roku spodziewaliśmy się, że powróci. Każdéj nocy budziłem się i nadsłuchiwałem, czy nie usłyszę tętnienia albo rżenia mojéj poczciwéj wychowanki, każdego wieczoru szykowałem dla niéj obrok, ale wszystko napróżno, i już nam nie szło w niéj o stratę konia do roboty, ale poczciwego bydlęcia, co się z niem prawie można było ugadać jak z człowiekiem, co się wiedziało, że nas zna i kocha, nikiej najlepszy przyjaciel.

I tak zeszedł rok cały blisko, aż w zimie dziedzic wyprawiał furmanki do Warszawy po różne maszyny i mnie przeznaczył do dozoru. W Warszawie dopiero moi ludzie napatrzyłem się, jak to bez litości katują konie, i chłopi, co na targi przyjeżdżają i inni ludzie, co wożą wodę, drzewo i tam inne rzeczy. Bo to szkapiny, Boże odpuść, chude, nędzne, głodne, kości ledwo skóry nie przebiją, ślepe, kulawe, łogawe, z bokami poobcieranemi, pokaleczonemi, a tu na wóz nakładą bez miary, każą ciągnąć pod górę takiemu biedactwu, biją po nogach, po łbie, po ślepiach, krzyczą, wrzeszczą, szkapska do ostatniego wyciągają, że aż zpod kopyt iskry się sypią; wreszcie padają na ziemię i ze zmęczenia, z bicia, potem tylko dychają i jak nieżywe leżą na ziemi. Napatrzyłem ja się tego nieraz, a jakiem sobie wspomniał moję Sierotkę, jéj poczciwość i przywiązanie do domu, i pomyślałem, że tu między temi szkapinami może niejedna jest taka poczciwa jak moja Sierotka, to mi prawie do płaczu przychodziło, i rzekłszy: oj! ludzie, ludzie bez litości, uciekałem do stajni, żeby nie patrzeć na takie okrucieństwo,

Jednego jednak dnia musiałem znowu pójść w tamtę stronę miasta, i kiedy od mostu wracam ulicą pod górę i myślę sobie o domu, o dzieciakach, i o gospodarstwie, tak, że prawie nie widzę nic, co się koło mnie dzieje, patrzę, a tu jedzie pod górę jakiś wóz z dwiema beczkami wody, zaprzężony tylko w jednego konia. Wedle wozu szedł jakiś człek trocha z miejska, trocha z wiejska ubrany, i ciągle krzyczał, przeklinał, wywijał batem, a jak szkapina, co były na niéj ino skóra i kości, potknęła się, albo przystanęła, to tak bił biczyskiem i biczem, że aż szerść z niéj na ziemię leciała. Mnie już moi ludzie brakło cierpliwości, bo dokumentnie widziałem, że szkapsko chce ciągnąć, bo się sili do ostatniego, ale nie ma siły, więc podszedłem ku wozowi i rzekłem:

— Mój człowieku, bydlęciu jeść nie dasz, a chcesz, żeby ciągnęło.

Szkapina na moje odezwanie, jakby wiedziało biedactwo, że ma we mnie obrońcę, obróciło się trocha łbem ku mnie, i słabo zarżało, jak człowiek nie przymierzając, kiedy z choroby już bardzo głośno mówić nie może. Woziwoda cości mi hardo odpowiedział, ale ja na to nie zważałem, bo mi w tém zarżeniu przyszła do myśli Sierotka. Więc poskoczyłem do szkapiny, ale zanim mogłem się jéj przyjrzeć, woziwoda tak wyciął ją biczyskiem twardem dwa razy po łbie, że biedactwo ino jękło, zatrzęsło łbem, i padło jak nieżywe na kamienie.

I cóż wam więcéj powiem, mówił daléj Janek ocierając oczy, kiedy jeszcze dziś, jak to sobie przypomnę, to oczy nie statkują i duchem łzami zachodzą. Tak moi ludzie, to była moja poczciwa Sierotka, ale taka biedna, taka chuda, tak pokaleczona, że ją tylko poznałem po znaku, co miała od pokąsania wilka, i po tem, że na każde odezwanie się moje zarżała, i ile razy wyrzekłem Sierotka! tyle razy podniosła łba od ziemi, zastrzygła uszami, i spojrzała na mnie. Ludzi jak to w mieście, nazbiegało się dosyć, jedni żałowali, drudzy jeszcze wykpiwali, a ja klęczałem wedle niéj, trzymałem łeb na ręku, głaskałem, całowałem, a Sierotka lizała mi ręce, i czasem mruczała, jakby na oznakę, że mnie poznała. Przyniosłem jéj ze sklepiku owsa i chleba, ale ino

po trochu skubnęła, i potem grzebała nogami, przewracała oczami, i choć nawpół już była zdechła, do ostatniego jednak tchu znała mój głos.

Jakże więc moi ludzie, czy to nie poczciwe było bydlę?— Czy więc należy się tak katować, przeciążać robotą, głodzić konie, i mało dbać o nie, jak to się po większéj części dzieje między gospodarzami? Pamiętajcie, że i konie Pan Bóg stworzył, jak i inne na ziemi stworzenia; więc jak dla stworzenia Boskiego człowiek powinien być dla nich ludzki, cierpliwy, dbały o wygodę i starunek wedle nich.

Choć Janek skończył, ale Bąbała tak się zasłuchał, że het! stał w jednem miejscu, i z gębą otwartą nikiej wrota od stodoły. Bednarek też zaraz to zauważył, a szturchnąwszy Modrasa i skazując na Bąbałę, rzekł cichaczem:

— Patrz Józiek, widzisz Bąbałę?

Józiek spojrzał, uśmiech w sobie zadusił ręką, i wyszedł z izby za drugimi.

Różności Tygodniowe

Jana Rychlaka.

Niedziela 5ta.

—

Tamtej niedzieli odbył się pogrzeb mego kolegi Tomasza—wieczorem rzekł do mnie majster Sporny:

—Pójdź ze mną do biednej wdowy, uważałem, że niezmiernie lamentuje, trzeba jéj dodać odwagi, a może ona i jakiéj dobréj rady potrzebuje.

— Ja z panem majstrem gotów i na koniec świata, odrzekłem uradowany, że muszę mieć łaski u niego, kiedy mnie chce wziąć z sobą; więc poszliśmy razem na ulicę Ceglaną do Tomaszowéj, która gdy nas zobaczyła, zaczęła aż zanosić się od płaczu. Siedziała przy niéj jedna z jéj krewnych i szepnęła:

— Niechno Tomaszowa da dwuzłotówkę, pobiegnę po 2gi numer kminkówki, trzeba pana majstra poczęstować, bo on nie był z innymi pogrzebowymi, gdyście mi kazali uraczyć ich pod *złotą rybką*. Usłyszał to majster, i jak nie chwyci za rękę Tomaszowę, co już do kieszeni sięgała, jak nie zacznie perorować, a to w tych słowach, com je dobrze sobie zapamiętał:

— Dajcież mi pokój z waszym poczęstunkiem, czy to ja po to przyszedłem?—co to za bieda, że w naszym stanie cokolwiek Bóg nam ześle, czy smutek, czy radość, nie umiemy tego inaczéj obchodzić, tylko wódką. Jeszczeż na weselu, na chrzcinach, to niechby przy jakiem jadle częstowano i wódką, byleby nie aż do pijatyki; alež na pogrzebie powinien każdy serdecznie pomodlić się za duszę zmarłego i rozpamiętywać, że co jego dzisiaj, mnie jutro spotkać może. U nas nie jeden i *Zdrowaś Marya* nie mówi, a wymyśla, kiedy na pogrzebie nie dolewają mu tyle wódki, żeby mu aż pamięć odjęło. Nieraz biedna wdowa nie wie, co jutro będzie z dziećmi jadła, a myśli, że bardzo uszanuje nieboszczyka męża, kiedy na jego pogrzebie dużo wódki zafunduje, a często i sama się spije.

— Dobrze pan majster mówi, powiedziała na to krewna Tomaszowéj, tylko co do upicia się na pogrzebie, to się niedotyczy mojéj bratanki, bo choć jéj mówiliśmy: że *na frasunek dobry trunek*, ona wprost z cmentarza zabrała się z dziećmi do domu, ino mnie prosiła, żebym znajomych, co byli na pogrzebie, poczęstowała w szynkowni.

— Ja też tylko tak w ogólności mówię, dodał majster, a do Tomaszowej tego nie stosuję, bo znam dobrze jéj poczciwość, trzeźwość i pracowitość; przyszedłem, aby podzielić jéj smutek.

Tomaszowa milcząc słuchała, a łzy jak groch spadały jéj po twarzy. Jedno z jéj dzieci spało w kołysce, a dwoje starszych miały oczy czerwone od płaczu; ale jak to dzieci, zaczęły z sobą się bawić i wesoło paplać. Matka płacząc, strofowała ich za taką nieczułość, że zapominają o śmierci ojca, a majster Sporny tak do niéj zagadał:

— Dalibyście dzieciom pokój, moja pani matko—już to tego nie przemieniać, co Bóg urządził, a On to w swej mądrości postanowił, żeby dzieci o żałości krótką miały pamięć. My ludzie mamy rozmaite obowiązki, które nas do pracy zmuszają, a przy pracy serce rade nierade, musi swój smutek na bok odłożyć; i tak trochę po trochu, ciężar usuwa się z serca. Ale dziecię nie ma żadnego koniecznego obowiązku, więc gdyby pamiętało o smutku swoim, to serduszko jego chybaby pękło? Dziękujmyż Bogu, że na żałość, dał lekarstwo dzieciom w łatwem zapominaniu, a nam w pracy—niechże Tomaszowa nie strofuje dzieci, że już nie płaczą, a niechno mi powie, co z sobą teraz zamyśla robić?

Tomaszowa nic nie odpowiedziała, tylko łzami się zalewała.

— No! zawołał majster serjo, ale z przychylnością, co to płacz pomoże, każde z was tam jest, gdzie Bóg przeznaczył; mąż wasz już wypoczywa w świętéj ziemi, a wy jeszcze pracować

musicie. Alboż to wasz chłopak nie jest jakby drugim Tomaszem?— podobny do ojca jak dwie krople wody, tylko patrzeć, rychło zacznie na siebie zarabiać; i popchnął majster Wicka ku matce, aby go ucałowała. Otrzyjcież łzy, mówił daléj, była z was zawsze nielada kobieta, trzeba i teraz pokazać, że umiecie zgadzać się z wolą Boską. Cóż zamyślacie robić? już drugi raz zapytuję o to, a nie odpowiadacie.

—Alboż ja wiem, co począć, odrzekła, obcierając oczy, któż da radę tym sierotom?—kiedy nas dwoje na nich pracowało, a poczciwy mąż ani grosza nigdy marnie nie stracił ze swego zarobku, to można było biedę opędzić; ależ teraz mam związane ręce, a szlochając, zawołała: ot! chyba wezmę jedno dzięcię za rękę, drugie na ręce i pójdę z niemi na żebraninę!

—Nie gadajże wasani takich niedorzeczności, krzyknął majster, aż spluwając z gniewu—tfu! co u licha! przecież Bóg dał ręce do pracy a nie do żebrania, a najcięższa praca, lżejsza od żebractwa dla człowieka, co ma Boga w sercu. Czy Tomaszowa zniosłaby tę pogardę, z jaką ludzie odtrącają zdrowych żebraków? Czyby Tomaszowa chciała, żeby jej nie wierzyli, że na własne dzieci żebrze, ale że, jak niektóre niecnoty, pożycza cudze dzieci, aby świętokradzkim sposobem do litości pobudzić? Oj! jaki straszny rachunek przyjdzie zdać przed Bogiem tym matkom, co mogłyby zapracować na dzieci, a wolą włóczyć się z niemi po żebraninie, przyzwyczajając te niewinne duszyczki do próżniactwa, do kłamstwa i wszelkich innych złych nałogów. Aż się we mnie gotuje, kiedy patrzę na zdrowych żebraków—ja, co sam z pracy żyję, wiem dobrze, że w naszym kraju więcej ziemi, niż rąk do jej uprawy, mnóstwo fabryk, do których nieraz robotników brakuje. Napatrzyłem się po wsiach, gdzie murowałem, jak to trudno o pomocników przy mularce, jak gospodarze przepłacają, a dostać nie mogą ludzi do żniwa, do wybierania kartofli. A w Warszawie, czy mało znam ogrodników, którzy nie mogą się doprosić o robotnika do pielenia, kopania, przesadzania; gdy tymczasem mnóstwo próżniaków zdrowe ręce po jałmużnę wyciągają, i przez to jakby okradali tych prawdziwych nieboraków, co dla kalectwa zapracować na życie nie mogą! A jaka zazdrość i nielitość między tymi fałszywymi ubogimi; na własne oczy widziałem niedawno na Miodowéj ulicy przy kościele Kapucynów, gdzie codzień ubogich karmią, jak jedna baba lewą ręką podawała garnuszek po swoję porcyę, bo prawą niby skaleczoną obwiniętą w zakrwawioną szmatę władać nie mogła, chociaż dopiero co nią dobrze okładała biednego ślepego staruszka i od schodów odpychała, a do niéj inni żebracy się przyłączyli, wypędzając staruszka, wołali: precz ty ztąd ślepowronie, po co naszą porcyę umniejszasz; nad tobą wszyscy więcéj się litują jak nad nami, bo ślepego mało kto pominie—idź żebrać, a nieprzychodź tu z garnuszkiem.

— Powiedziałem zaraz o tem zgorszeniu *braciszkowi*, co jedzenie rozdawał; mieliż co słuchać od niego. Ślepy staruszek najpierw i najwięcéj dostał, a herod baba poszła z kwitkiem. Napięściowała mi się, nawymyślała, na czém świat stoi. Ale ja sobie z tego nic nie robiłem, i cieszyłem się, że choć jednę próżniaczkę upokorzyłem. A Tomaszowa mogła z spokojnem sumieniem powiedzieć, że pójdzie z dziećmi między takich hultajów. Chyba tak z żalu głowę tracicie moja pani matko.

—No, jużcić prawda, odpowiedziała wdowa, wzdychając, nie puściłabym się na to, ależ ani wiem, jak sobie zaradzić?

— Ino rąk nie opuszczać, mówił majster, a *Bóg najlepiej radzi o swojej czeladzi*, i jak to mówią: *chętnym do pracy, roboty dostarczy*. Myślałby kto, że się Tomaszowa pracy boi, a przecież ja was zawsze moim córkom za wzór wystawiam—alboż to wam trzeba przypominać, że was dawniej moja żona *zgrabnotką* przezywała, tak byliście zwinni, zgrabni do wszystkiego.

Takie i tym podobne słowa, dodawały odwagi biednej wdowie; więc na tém stanęło, że majster zakupił od niej statki mularskie po jej mężu, i że za to Tomaszowa nakupi, co potrzeba do założenia pralni, wraz z jedną poczciwą maglarką, co właśnie wspólniczki potrzebowała, a prosiła Spornego, żeby takiéj wyszukał. Wicka przyjął majster do terminu na swój sprawunek, i obiecał nowej praczce nastręczać bieliznę od znajomych panów. Wdowa dziękowała mu i za słowa prawdy i za rady i za pociechę; bo to w biedzie a potrzebie ręka rękę myje, noga nogę wspiera, a w smutku, w żałości serce sercu ciężaru ujmuje.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 28 maja (9 czerwca) 1857 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.